

## Próba.

— Dzięki za wspaniałe róże, kochany przyjacielu! Jeszcze chyba piękniejsze od poprzednich! Lubię róże La France za ich królewski wygląd. Tę przypnę do sukni, resztę zaś włożę do tego flakonu. Co za stylowa całość! A teraz, kochany Pawle, przysuń fotel do kominka, usiądź wygodnie i mów, jakie masz nowinki w zanadrzu?

— Największa sensacja sezonu: zaręczyny naszego wspólnego przyjaciela Helmera.

— O tem już slyszalam. Co jeszcze?

— Nie idźmy dalej! Zatrzymajmy się przy tym szczęśliwcu, jeśli pani pozwoli!

— Chce pan wstąpić w jego ślady? Melancholijny kierunek pańskich wąsików utrwała mnie w tem podejrzeniu.

— Czyżbym się zdradził?

— Jakoby. Krótko i węzłowato — pan zamierza oświadczyć mi się.

— A więc... tak!

— Ja zaś pragnęłabym odwieść pana od tego zamiaru, ażeby nie być zmuszoną odmówić panu...

— Dlaczego?

— Z wielu względów. A przedewszystkiem dlatego, że uważam małżeństwo za szalony krok, który już raz w życiu zrobiwszy, nie mam więcej odwagi na tak karkołomną sztukę.

Jestem wdową, kobietą niezależną, mam stanowisko, przyjaciół... nic mi więcej do szczęścia nie potrzeba.

Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego pan pragnie pojąć mnie za żonę?

— Szczególne pytanie! Bo kocham panią!

— Czy pan się nie myli w swych uczuciach przypadkiem? Ja znam trochę mężczyzn z wielkiego świata. Wasze curriculum vitae składa się zwykle z czterech tomów: Pierwszy tom pod tytułem: „Poezja“, drugi — „Walka“, trzeci — „Użycie“, czwarty i ostatni — „Spokój“. I w tem całe nieszczęście, że żona najczęściej w ostatnim tomie dopiero się zjawia.

— A zatem pani mi daje najformalniejszego kosa?

— Jeszcze nie. Przy pewnych warunkach nie jestem małżeństwu przeciwna. Muszę pomyśleć nad tem, zastanowić się.

— Jak długo?

— Tydzień — parę dni może...

— Zgoda.

— Pan musi bliżej mnie poznać; dlatego też czuję się w obowiązku, opowiedzieć panu pewien rozdział z mego życia, bardzo ważny rozdział, który i teraz jeszcze nie jest zamknięty.

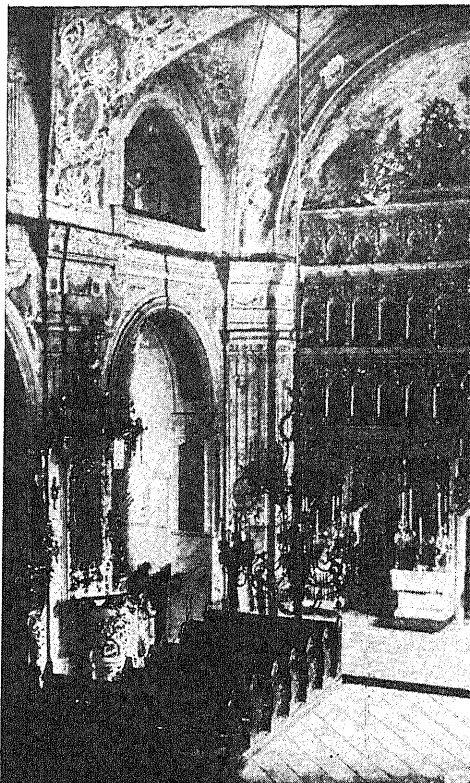
— Pani mnie zaciekawia.

— Otóż i kolacja. Niech Jan postawi półmiski i odejdzie. Sami sobie usługiwac będziemy.

Słuchaj zatem, kochany przyjacielu! Moje serce niezupełnie jest wolne. — Niech pan weźmie tego pasztetu z truflii.

— Bardzo chętnie.

— Znasz pan doktora Emericha Römęra?



Wnętrze katedry katolickiej w Uhorodzie, w głównym mieście Rusi Podkarpackiej.

— Powierzchnownie.

— Poznałam go zeszłej zimy i zaprosiłam do siebie. Przychodził od czasu do czasu, a teraz jest kilka razy w tygodniu u mnie. Czy mogę panu służyć kaczką?

— Uprzejme dzięki. Biorę już.

— Cenię dr. Römęra coraz więcej i czuję, że nie jestem mu obojętna. W te dni, kiedy się widywać nie możemy, pisujemy do siebie. — Jeszcze skrzydełko i sałatki do tego.

— Z przyjemnością.

— Pani Pawle! Mogę panu już teraz odpowiedzieć stanowczo na pańskie oświadczenia.



Taniec ludowy na Rusi Podkarpackiej.

— Już? Tak prędko?

— Tak. Wypróbowałam pana i doszłam do wniosku, że pan dla mnie na męża się nie nadaje.

— Co? Pani mnie wzięła na próbę? Kiedy? I jaką wadę pani we mnie znalazła?

— Pan ma szalony apetyt.

— Owszem, Bogu dziękować. Ale czyż to stanowi przeszkodę do małżeństwa?

— Pod pewnym względem tak. Widzisz kochany przyjacielu, nie oczekiwałam wprowadzić, abyś na wieść o rywalu, chwyciwszy szpadę, jak szalony wybiegł go rozplatać, ale... pełen talerz pasztetu i trzy kawałki kaczki — to dowód tak małego wzburzenia, że mimo skromnych moich wymagań, jestem zdumiona.

— Ach, pani żartuje!

— Bynajmniej!

— Jakto! Na zasadzie tej drobnej obserwacji pani mi daje ostatecznego kosa?

— Naturalnie. Pan mi dowiódł niezbicie że czwarty rozdział pańskiego życia — okres spokoju — jest już w pełnym biegu.

— Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak cię czcigodna pani pożegnać, zapewniając, że już nigdy więcej nie przekroczę progu twego mieszkania.

— Ależ dlaczego? Zawsze chętnie powitam w domu przyjaciela mego domu. Jestem pewna, że mój przyszły mąż również nic nie będzie miał przeciwko temu.

— Pani przyszły mąż? Więc pani się waży jednakże na tak karkołomne przedsięwzięcie?

— Możliwe.

— Szczęśliwy kandydat?...

— Doktor Römer.

— Co? Ten mędrzak?

— Tak jest. To bardzo miły i poważny człowiek. Mimo to nie mogłam się dotychczas zdecydować. Próba z panem dowiodła mi, jak kobiety muszą być ostrożne! Co do dr. Römęra, opowiem mu o pana częstych wizytach u mnie i jeśli tylko równie obojętnie jak pan przyjmie wiadomość o rywalu — roześmieję się każdemu w oczy, kto mi małżeństwem zechce jeszcze zawracać głowę!

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 16 stycznia 1927 roku.

Nr. 3.

## Łódź się bawi...



A gdy wjechał Książę Karnawał, czy młody, czy stary, wszyscy na redutach. Fotografia nasza przedstawia bal Akademickich Kół Łódzian, który się odbył w salach Tow. „Lutnia“ w dniu 5 b. m.



## Teatralja

„Albatros“. — Z teatrów polskich. — Czeskie nowości teatralne. — Dowcip Bernarda Shawa.

Sezon bieżący przynosi teatrom warszawskim raz po raz premierę polską, co, oczywiście, jest zjawiskiem wysoce pocieszającym. Gdyby zaś sprawa pod względem jakościowym przedstawiała się równie dobrze, jak ze strony ilościowej, można by dać upust najszczerzej swej radości i uwierzyć w cudowny rozkwit ojczystej dramaturgii. Niestety — tak dobrze nie jest. Powiedzieć to można zwłaszcza po premierze „Albatrosa“ p. Fijałkowskiego (autora „Gorącej krwi“ i „Pana posła“), który nie zdobył się nawet na to, czego po pierwszych komediach jego pióra można było oczekiwać.

Temat „Albatrosa“ dobry jest, choć nie nowy: walka o ziemię pomiędzy bankrutującym szlachcicem, Lipowieckim, a porośniętym w pióra, bogatym chłopem, Zakrzosem. Ten spór, w którym żadna ze stron nie może wzbudzić naszej sympatii, kończy się wtargnięciem sfrancuziałego syna Zakrzosa, Pawła Żaka, kapitana okrętu „Albatros“, w centrum komediowych powikłań. Ten Żak, prawdziwy deus ex machina, trafiając po morzach obcych i dalekich, licytuje się z własnym ojcem przy kupnie majątku, pozostając w końcu podwójnym zwycięzcą: ziemia Lipowieckiego będzie własnością kapitana, a ponadto córka podupadłego szlachciury odda swą rączkę zamorskiemu zdobywcy, który pokład okrętu jakoś bez wahania zamienia na pełne zagony polskie.

Wszystko to mogłoby być bardzo ładnie i interesujące, gdyby autor mógł czy chciał nie pokpić sprawy. Ale p. Fijałkowski tym razem dał twór szkicowy raczej, niewykonalny, którego kapitalnych braków nie da się pokryć lukrem wątpliwego smaku dowcipu, w i bardzo niedrogiemu dydaktyzmowi. To też nie dziwne, że w rezultacie „Albatros“ spotkał się z surową, nawet ostrą, krytyką w prasie; nie brak wśród wierszy sprawozdań premierowych nawet takich określeń dla nowej komedii, jak „ramota“, albo „utwór rażący niewysokim poziomem artystycznym“, albo — inne, bardziej owinięte w bawełnę, ale równie niepochebne.

Nawet mobilizacja takich tuzów aktorskich, jak Frenkiel, Zelwerowicz, Leszczyński, Go, czyńska, nie mogła z pustej słomy urwić pachnącego bukietu, ani z piasku — wznieść pięknej budowli. Wszystko wskazuje na to, że „Albatros“ niedługo wytrzyma w warszawskim klimacie Teatru Letniego, że komedję p. Fijałkowskiego czeka zwykły los — płodów poronionych.

Mówiąc o pracy teatrów prowincjonalnych, na pierwszym miejscu, uwzględniając wszystkie warunki i okoliczności zewnętrzne, postawić trzeba „Redutę“. W sezonie bieżącym podzieliła się ona na 4-ry zespoły, z których dwa grają stale w Wilnie i Grodnie, dwa zaś objeżdżają miasta i miasteczka kresowe. Zrozumienie doniosłości kulturalnej występów „Reduty“ przemika co raz głębiej w szerokie sfery tamtejszego społeczeństwa. M. in. odbyła się niedawno pod przewodnictwem p. wojewody wolińskiego specjalna konferencja delegatów

miast Wołynia, poświęcona sprawie pomocy dla „Reduty“ i popularyzowania jej widowisk. Tegoroczny repertuar zespołów dyr. Osterwy obejmuje szereg sztuk pierwszorzędnej wartości, jak np. „Mazepa“, „Świętoszek“, „Romantyczni“, „Don Juan“ (Zorilli), „Siostrę Beatrix“ (Maeterlincka), „Śnieg“ (Przybyszewskiego), „Wyzwolenie“ (Wyspiańskiego), „Ponad śnieg“, „Przebieżka“, „Żeglarz“ (Szaniawskiego) itd. Tyłko przy bardzo usilnej pracy i wielkim dla teatru entuzjazmie można sobie z powodzeniem dać radę z takim repertuarem, zwłaszcza wobec szczupłości rozporządzalnych środków.

Lwowski Teatr Mały z powodzeniem wystawił nieśmiertelnego „Rewizora“. W Poznaniu — Teatr Nowy dał w kotarowych dekoracjach „Sen mocy letniej“. Mimo wielkiej sceny, następującej liczne trudności techniczne, pomysłowość reżyserska p. Warneckiego zwycięsko wybrnęła z oparów. Z Grudziądza słyhać narzekania na nieszczęśliwy poziom repertuaru miejscowego teatru, prowadzonego w sezonie bieżącym przez dyr. Czarnowskiego. Niestety, wina leży w dużej części po stronie p. t. publiczności, którą ma sztuki poważniejsze czterema końmi zaciągnąć nie można. Cóż więc ma robić nieszczęsny dyrektor? Ano — odegrać się „kasowo“ rozmaitemi „Ananasami“ i kokosami z francuskiego zasobu farsowego.

Teatry czeskie, w szczególności w Pradze, uwzględniają w możliwie szerokich rozmiarach twórczość rodzimą, trzeba przyznać dość obfita i naogół wartościowa. Do nowości, już wystawionych albo przygotowywanych do wystawienia, należą: E.



Nieźródny p. Antoni Fertner bawił na gościnnych występach w Łodzi



„Choińska“ w Związku Urzędników Miejskich.



P. Eugenia Brühl, bosonoga tancerka klasyczna, występuje z dużym powodzeniem w „Teatralnej“.



P. K. Bajon, występujący również na scenie w „Teatralnej“.



W dniu 6 b. m. Związek Handlowców Polskich urządził „Choińkę“ dla dzieci członków, urozmaiconą szeregiem niespodzianek.



Pantomina i balet na „Choińce“ u Handlowców.

Konrada — „Komedja w Kostce“, oparta na ciekawym problemie powikłań erotycznych wśród członków jednej rodziny; „Szofer“ p. A. Bernarda i B. Wrbskiego, udana komedja, której osi jest personalne qui pro quo inżyniera i szofera; wreszcie — bracia Czapkowie złożyli dyrekcji „Narodnego Divadla“ najnowszą swą sztukę p. t. „Stwórca“, ujmującą w satyryczny sposób arcyciekawym temacie stworzenia pierwszego człowieka.

Znakomity Bernard Shaw znany jest ze swego ciętego, pełnego spokojnej ironji, dowcipu. Ostatnio znowu się na tem polu opisał: Zaciągnięto Shaw'a na jakiś koncert dobroczynny, na którym autor „Św. Joanny“ nudził się w okropny sposób. W pewnej chwili sąsiad Shaw'a zwraca się doń z zapytaniem:

— Czy nie uważa pan, że kwartet brzmi wspaniale?

— Owszem, owszem.

— Bo też jest doskonale zgrany; ci czterej ludzie grają już ze sobą jedenaście lat.

— Jedenaście lat... — powtórzył Shaw z pewną melancholją — jedenaście lat... a ja myślałem, że my siedzimy tu już znacznie dłużej.

Delta.



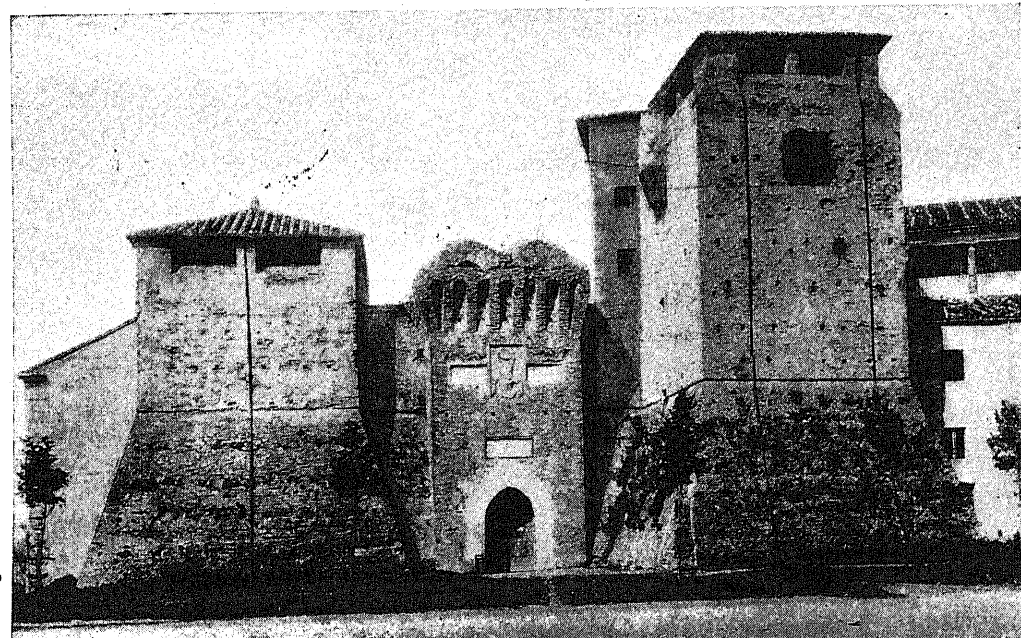




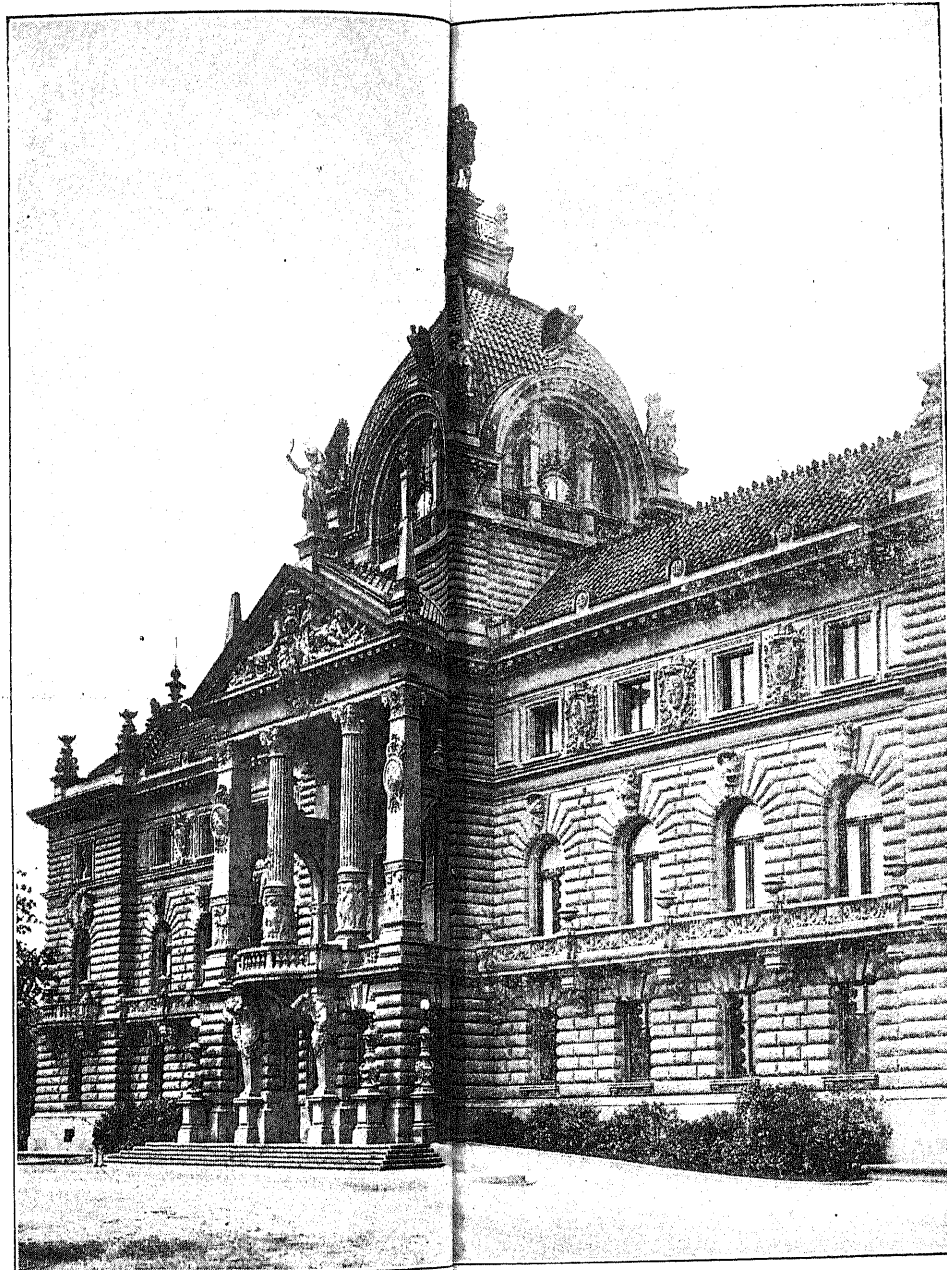
Noworoczna manifestacja faszystowska na cześć Mussoliniego w Rzymie.



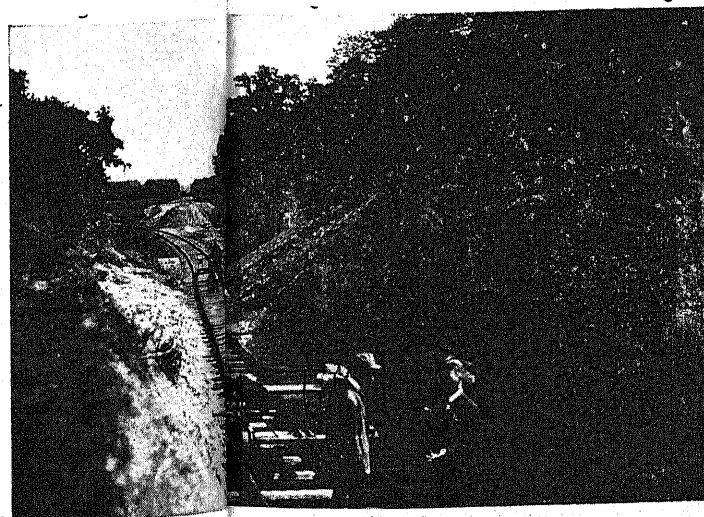
Pomnik ofiarowany miastu Singapore przez króla Siamu.



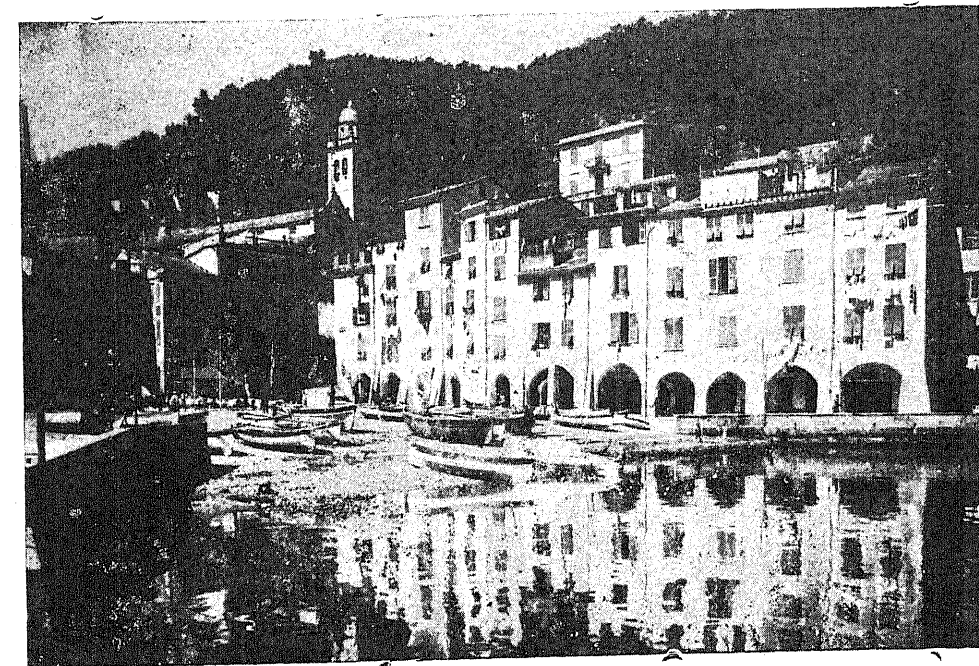
Starożytna świątynia Melatystów w Rzymie.



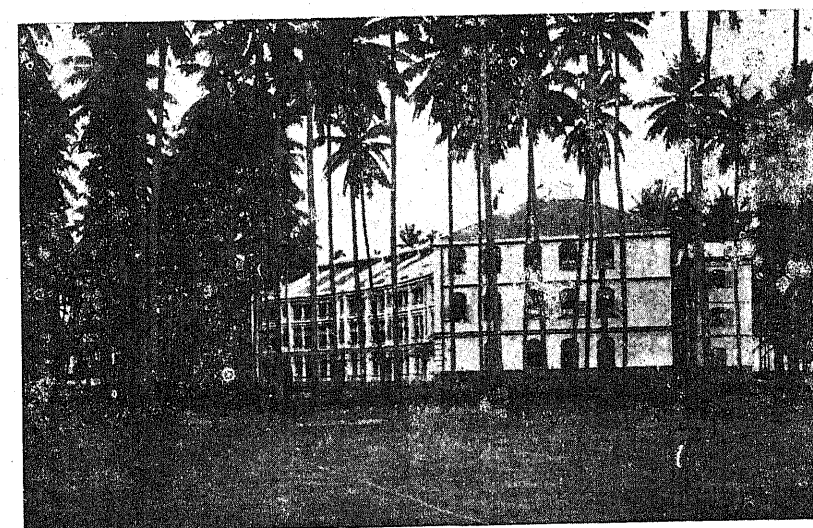
Pałac Reński, dawna siedziba cesarza i Instytut Geograficzny w Strasburgu.



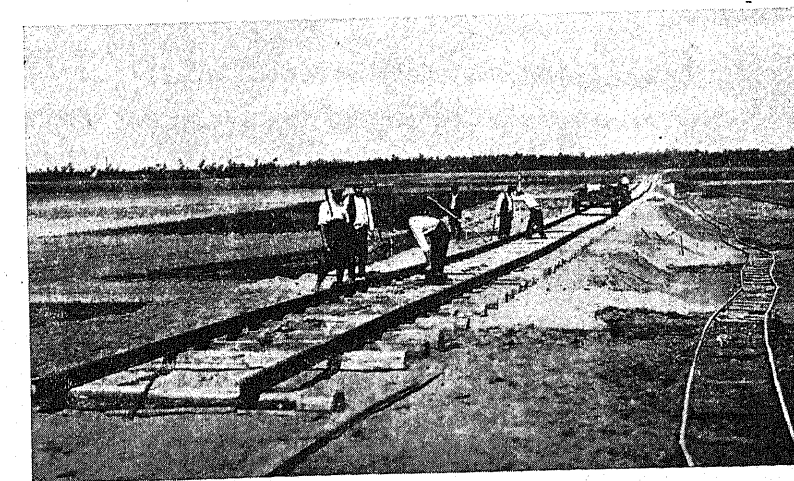
Zniszczony kolejowy w stanie Arisona.



Rybackie domki w Portofino na tle górskich lasów.



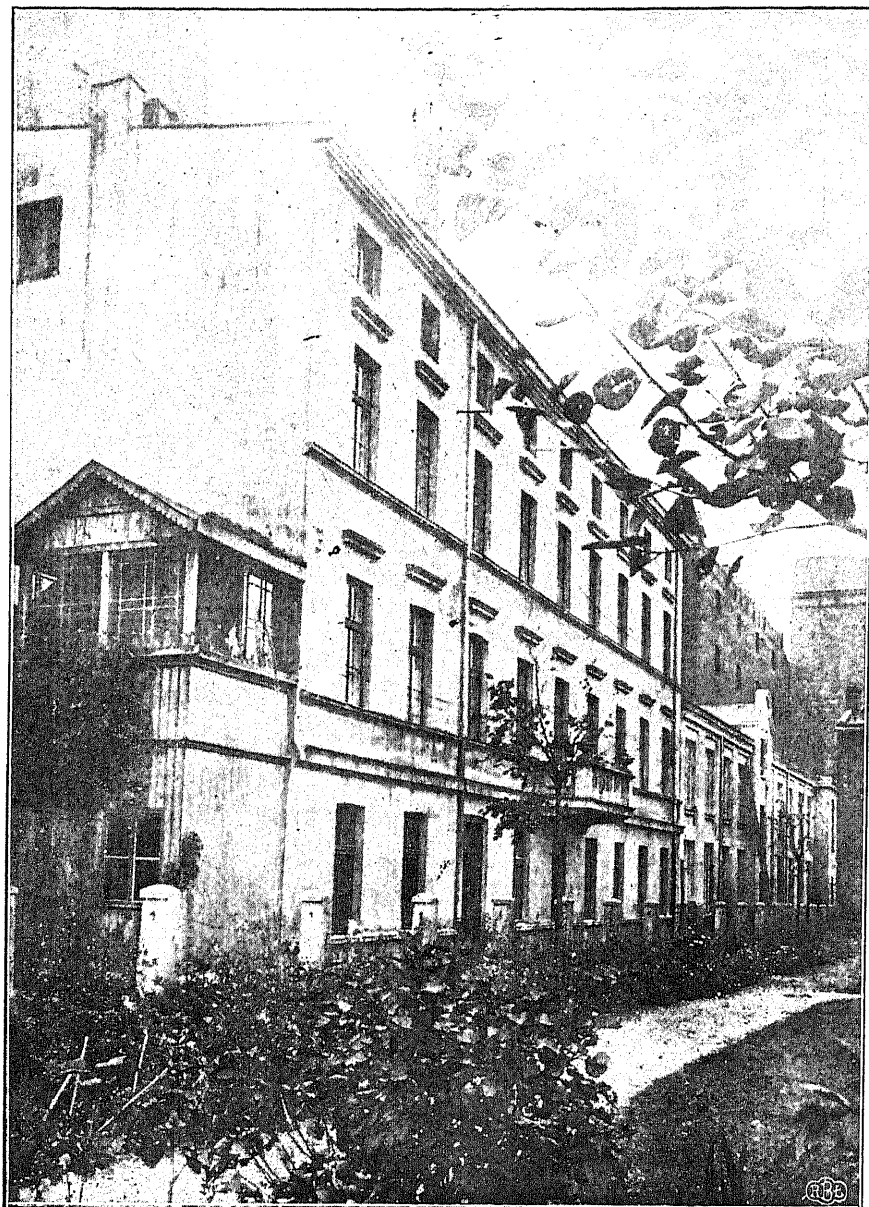
Miejskie gaje palmowe w Singapurze.



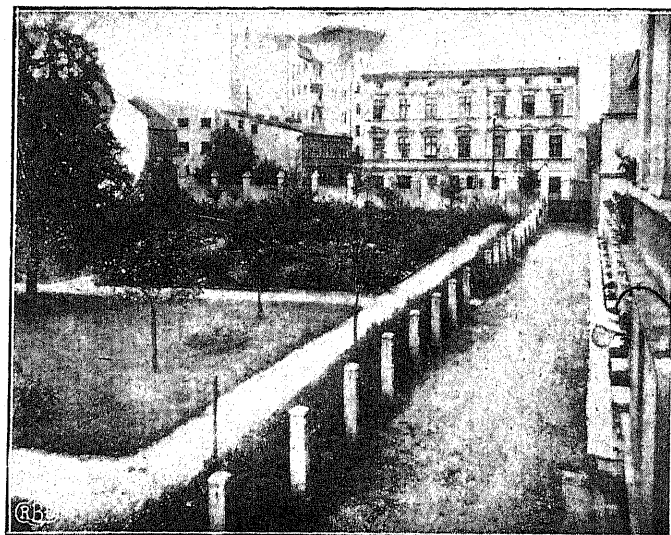
Po ostatniej katastrofie w południowo-wschodniej Kalifornii. Szybkie zakładanie zniszczonego trzęsieniem ziemi toru kolejowego w okolic. Meksykali



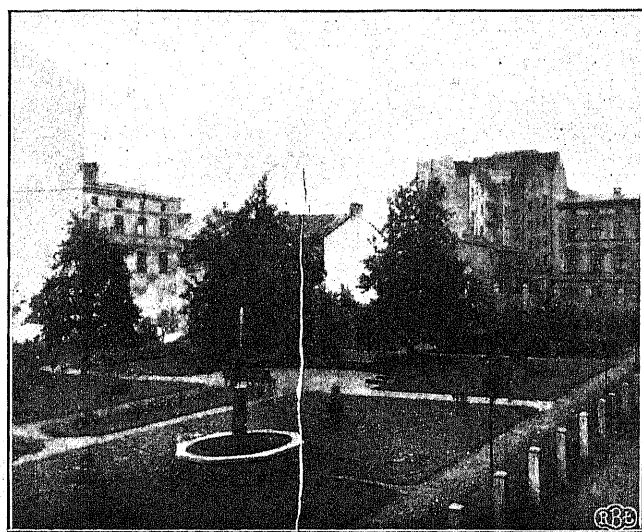
8-IO KLASOWE Z PRZEDSZKOLEM GIMNAZJUM HUMANISTYCZNE ŻEŃSKIE ADELI KOZIOLKIEWICZ-SKRZYPKOWSKIEJ.



Główny budynek szkolny i oficyna, gdzie mieszczą się gabinety i sale rekreacyjne gimnazjum.



Wyjście przez ogród do głównego gmachu.



Ogród szkolny.

\* \* \*

Załączona ilustracja przedstawia gmach, do którego z dn. 1 października r. ub. przenieśli się gimnazjum p. Adeli Koziolkiewicz - Skrzypkowskiej. Nowy ten krok w historii najstarszej w Łodzi szkoły żeńskiej jest dalszym etapem w ciągłym, wytrwałym rozwoju tej placówki naukowej. Uczelnia założona w r. 1896 jako IV-ro klasowa pensja żeńska przekształciła się w r. 1906 w VII-io klasowe gimnazjum a w r. 1918, już jako pełne 8-io klasowe gimnazjum humanistyczne, wypuściła pierwszy zastęp maturzystek.

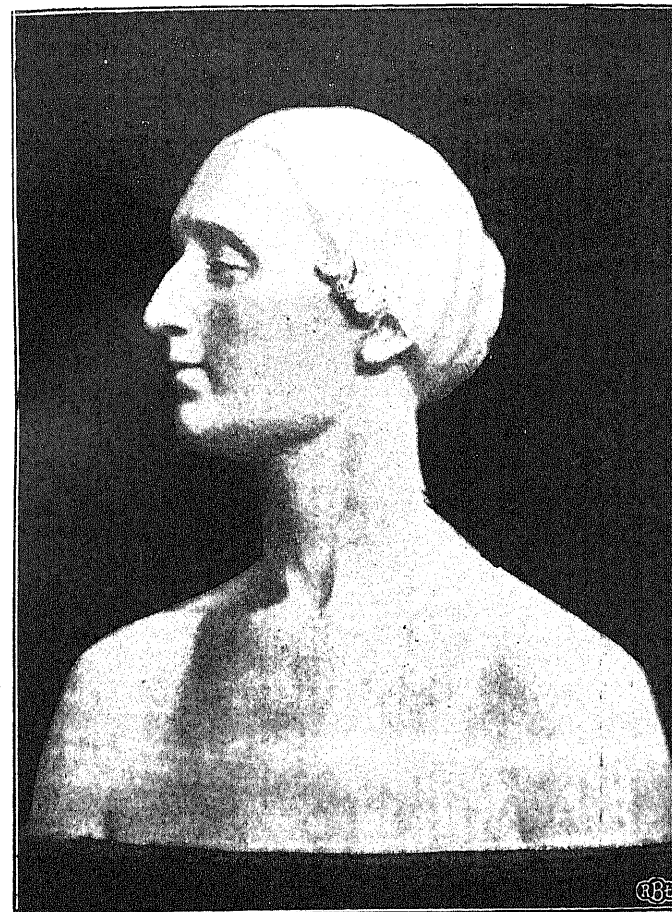
W latach niewoli przeżywała wszystkie kłopoty i przykrości związane z walką o polski charakter szkoły. Z opresji tych wychodzi zwycięsko, dzięki niezłomnemu charakterowi zmarłej przed trzema laty przelożonej s. p. Stanisławy Rajskiej.

W roku 1925 właścicielką i kierowniczką gimnazjum została p. Adela Koziolkiewicz - Skrzypkowska, chlubnie znana na gruncie łódzkim nauczycielką historii literatury polskiej i wybitną siłą na polu działalności społecznej i kulturalno - oświatowej. Jej energii i wysiłkom zawdzięczać należy reorganizację szkoły, ożywionej silnym techniem nowych pomysłów tak w dziedzinie administracji jak i pedagogicznej. Reorganizacja ta wymagała przedewszystkiem obszerniejszego lokalu, którego uzyskanie stało się możliwe dzięki obywatelskiemu stanowisku, jakie względem szkoły zajęli dawny i obecny właściciel lokali — pp. Adolf i Gustaw Horakowie, godząc się na szereg ulg w płaceniu czynszu mieszkaniowego i za przeróbkę lokalu.

W uznaniu tej uczynności kierownictwo szkoły ustanowiło dwa stypendja dla niezamożnych uczennic im. Braci Horaków.

Należy się spodziewać, że tak postawiona szkoła p. Ady Koziolkiewicz - Skrzypkowskiej gromadzi w swych murach młodzież wszystkich warstw społecznych. Przeżywany obecnie trudny okres kryzysu gospodarczego znalazł pełne zrozumienie u

Z MIEJSKIEJ GALERJI SZTUKI.

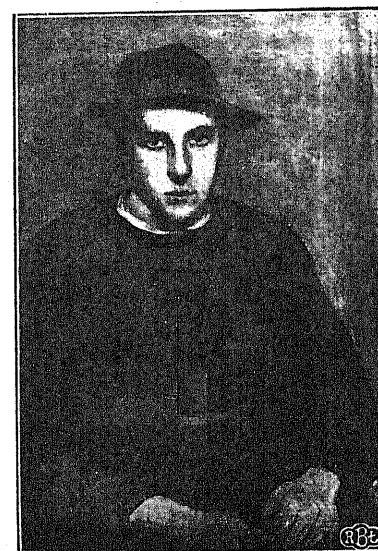


Biust p. D., rzeźba w wykonaniu St. Jagmina.



Góralka.

W. Słewiński.



Bretończyk.

W. Słewiński.



Z Tatr.

W. Słewiński.

dyrekcji i personelu nauczycielskiego w obniżeniu czesnego; w klasach od „A” do III-ej włącznie (czesne wynosi 300 — 400 zł. rocznie). Uwzględniając współczesne wymagania higieny i pedagogiki, gimnazjum postanowiło nie gromadzić w poszczególnych klasach więcej niż 38 uczennic. Zwrócono uwagę na życie pozaszkolne młodzieży. Ćwiczenia gimnastyczne w obszernej sali, na świeżym powietrzu (gimnazjum posiada 3000 mtr. kw. ogrodu owocowo-kwiatowego), lekcje robót artystycznych, dyk-

cji, tańców stylowych ze szczególnem uwzględnieniem polskich i muzyki (tworzy się orkiestra szkolna) — oto środki wychowawcze, mające na celu dostarczenie wychowankom sposobności do pożytecznego i przyjemnego spędzenia czasu w godzinach wolnych od zajęć szkolnych.

Od trzech lat istniejące przy gimnazjum Koło Byłych Uczennic, rozciąga nad abiturjentkami opiekę, łącząc zespół nauczycielstwa i młodzieży w całość organiczną. Spłacając dług wdzięczności za swoje

wychowanie zmarłej przelożonej, Koło Byłych Uczennic pomogło dyrekcji w jej poczynaniach w bieżącym roku szkolnym przez ułatwienie zmiany lokalu, udzieliło bowiem szkole pożyczki. Dyrekcja opocentowała pożyczkę, ustanawiając dwa stypendja im. s. p. Stanisławy Rajskiej z których korzystają: z kl. V jedna uczennica i z kl. VIII również jedna.

Należy się spodziewać, że tak postawiona placówka spełni w dziedzinie wychowania młodzieży swoje zadanie.



## Wspomnienie.

— Lammerlette! On mię pyta, czy znam Lammerlette'a! — woła mój stary przyjaciel, malarz Mandruc. — Czyż nie wiesz, chłopie, że on i ja przez trzy z górą lata prowadziliśmy wspólne gospodarstwo?

Mieliśmy wówczas po dwadzieścia lat. Tak, tak! Dawne dzieje, jakkolwiek się nam wydaje, jak gdyby to wczoraj było!

Przeszłość tak napozór bliska, a jednak tak daleka!

Mieszkaaliśmy przy ulicy Véron w małym atelier za trzysta franków, rozbrzmiewającym od rana do wieczora pieśniami naszymi, w którym pracowaliśmy o jednym modelu i graliśmy się przy jednym kominku.

Sowizdrzał był z niego co niemiara, lecz byliśmy w tym cudownym wieku, w którym się żyje... dla życia. O, cudzie młodości!

Urwał i pędłem zrobił refleks świetlny na wardze św. Hieronima, którego właśnie malował.

— Czy ci kiedykolwiek opowiadałem przygodę z zegarem? Warto jej posłuchać!

— Byliśmy właśnie w kłopotach materialnych, gdy ojciec Lackmeyer przyszedł do nas w odwiedziny. Lackmeyer był to stary przekupień z Montmartre, kupujący i sprzedający wszystko: od fałszywego Rembrandta do zużytych szczypteczek do rwania zębów.

Chodząc po atelier przyglądał się w milczeniu aktom, studjom i szkicom zdobitym ścianami i w końcu odezwał się:

— Wszystko razem wzięte, funta kłaków nie warte, do niczego nie zdadne. Marne obrazy. Ale poczciwy ze mnie czelczyzna, a przytem... cóż to? darmo wdrapałem się tutaj?

— Me chcecie za cały ten kram?

— Dwieście franków — rzecze Lammerlette.

— Dwieście franków? Ja daję osiemdziesiąt.

Zgodziliśmy się.

Trzeba grosze, które nam z nieba spadły pożytecznie użyć.

Dziś poniedziałek zapustny, jutro bal w gmachu operowym! Na to pójdą pieniądze!

Usłyszawszy słowo „bal“ ojciec Lackmeyer przyjrzał się nam uważnie.

— Świetna myśl — zawołał — szczęśliwie się dla was składa. Mam bowiem całą kolekcję wspaniałych kostiumów, które leżeć na was będą jak ułan.

Odstąpię je wam za parę groszy, gdyż rad jestem usłużyć wam.

Z miejsca sprawę załatwiliśmy. Lackmeyer wziął obrazy nasze na plecy i poszliśmy z nim do jego magazynu.

Wybrane po długim szukaniu kostiumy były w opłakanym stanie, każdy wart nie wyżej trzydziestu sous.

Ale Lackmeyer nie chciał ich odstąpić niżej idwudziestu franków za sztukę.

Zapłaciliśmy mu przeto czterdzieści franków, wróciliśmy do swej izdebki, skacząc z radości na myśl o jutrzejszej zabawie.

Nazajutrz o godzinie 8 z rana dzwonek u drzwi obudził mię. Wstałem ostrożnie, by nie zbudzić Lammerlette'a (dzieliłmi się bowiem łóżkiem, jak wogóle wszystkim). Otworzywszy drzwi ujrzałem przed sobą inkasenta, który mi podał papier.

Przeczytałem:

„Paryż, dn. 1 grudnia 1890 r.

„1 marca 1891 r. zapłać panu Matraque, krawcowi lub jego zastępcy dwadzieścia pięć franków za parę spodni.

Teodor Mandruc  
ulica Véron.

Patrzałem zgnębiony na nędzny kawałek papieru... brudny świtek, pełen stempli, i podpisów, który spadał na naszą zabawę jak wielki pajak na talerz bitej śmietany z konfiturami.

Skoro Lammerlette'owi powiedziałem o moim pechu, podskoczył niczym rakietą. Oświadczył mi, że nie miałem prawa wspólnymi pieniędzmi spłacać swego długu i że mi nigdy przemiewierstwa tego nie zapomni.

Siedzieliśmy potem przy śniadaniu, nie odzywając się do siebie, aż wreszcie, kiedy składałem serwetę Lammerlette przemówił:

— Przyznaj, Mandruc, że nieuczciwie postąpiłeś.

— Przyznaję — odparłem obojętnie.

— Masz jednak możliwość naprawy tego złego postępku. Zanieś swój zegar do lombardu. Będziemy mieli pieniądze na bilety i jeszcze z pięć franków ponadto.

— Kpisz sobie chyba ze mnie? Zegar, który mi matka na urodziny darowała? Zegar, który jest jedyną ozdobą naszego atelier?

— Nic nie szkodzi — wycedził sucho — zanieś go miamo to do lombardu.

Ton, z jakim huknąłem „nie“, przekonał go o mocy mego postanowienia.

Zdawało się, że poniechał niefortunnej myśli.

— Mandruc, zanieś zegar do lombardu — odezwał się nagle, dmuchnąwszy mi kłębem dymu papierosowego prosto w twarz.

Zamiast odpowiedzi, wzruszyłem ramionami.

Lecz Lammerlette nie dał za wygraną. Przysunął się do mnie z krzesłem przez dwadzieścia minut powtarzał bez przerwy głosem monotonnym jedno i to samo, od czasu do czasu zaledwie oddech chwytając:

— Mandruc, zanieś zegar do lombardu! Mandruc, zanieś zegar do lombardu! Proszę cię, zanieś zegar do lombardu, Mandruc! Mandruc, ja cię błagam, zanieś zegar do lombardu!

Nie było rady. Musiałem ustąpić.

— Dobrze, już dobrze — zawołałem — zastawię zegar, tylko przestań na miłość Boską, Lammerlette, albo cię uduszę!

Umilkł natychmiast.

Zawinał zegar starannie w gazetę, wpakował mi go pod pachę i nakazał pośpiech.

— Przy ulicy Fromentin znajdziesz najbliższy lombard — zawołał, gdy byłem już na schodach.

Szedłem ulicą Germain Pilon, gdy ktoś mi drogę zaszedł... Podniosłem głowę, ujrzałem... Zgadnij kogo? Moją matkę, moją matkę we własnej osobie, którą przypadek w te strony sprowadził. Prawda, co za los, co za nieszczęśliwy zbieg okoliczności!

Była jeszcze piękną wówczas, matka moja! Wyglądała bardzo młodo, mimo dość zaawansowanego wieku. Pełna energii i siły woli, trzymała w ręku ojca i mnie. Mieliśmy respekt dla niej i baliśmy się jej, jak ognia!

Przechodnie mijali nas z uśmiechem na twarzy, widząc rosłego jak topola chłopca, stojącego ze zmieszana miną przed drobną kobietą, którąby mógł niemal w dwa palce chwycić, do kieszeni schować.

— Co masz pod pachą?

— Podręczniki naukowe — odparłem z istic bohaterką odwagą — okazyjnie kupione dzieje malarstwa w trzech tomach — kupiłem je na licytacji.

— Książki? — podchwyciła matka z radosnym zdumieniem — więc zmadrzałeś narreszcie i pracujesz!

Zacząłem przedkładać, że rodzice mylą się bardzo co do mego charakteru, że jestem poważnym człowiekiem, pracuję systematycznie, planowo i t. d. i t. d.

W chwili największego rozpędu mej elokwencji, nagle... o zgrozo!... dzieje malarstwa pod moją pachą wybiły godzinę 3-cią! Matka spojrzała na mnie, ja na matkę. Patrzyliśmy sobie przez chwilę w oczy.

Do krośset! Czekałem na policzek, wiedząc dobrze, że niezbyt lekką ma rękę.

Ale idiotyczny wyraz mojej fizys najwidoczniej rozbroił matuchnę.

— Zegar, który odemnie dostałeś?

— Tak, mamo.

— Ręczę, że niesiesz go do lombardu! Brak ci pieniędzy?

— Tak, mamo.

— Masz sto franków. Czy ci wystarczy narazie?

W pięć minut potem wpadłem jak bomba do atelier.

— Lammerlette — wołałem — oto sto franków i zegar!

Lammerlette nic nie rozumiał. W trzech słowach objaśniłem go. Wzięliśmy się za ręce i dalejże tańczyć z radości niczym Indjanie i wołać na całe gardło:

— Niech żyje ojciec Lackmeyer!

— Niech żyje mama Mandruc!

— Niech żyje młodość!

Mandruc zamilkł i cofnął się o parę kroków, aby spojrzeć na obraz. Ale myśli jego były daleko w gonitwie za wspomnieniami. Usta zaś szeptały:

— Młodość! Młodość! Gdzie jest młodość moja?

Tłum. Jotsaw.



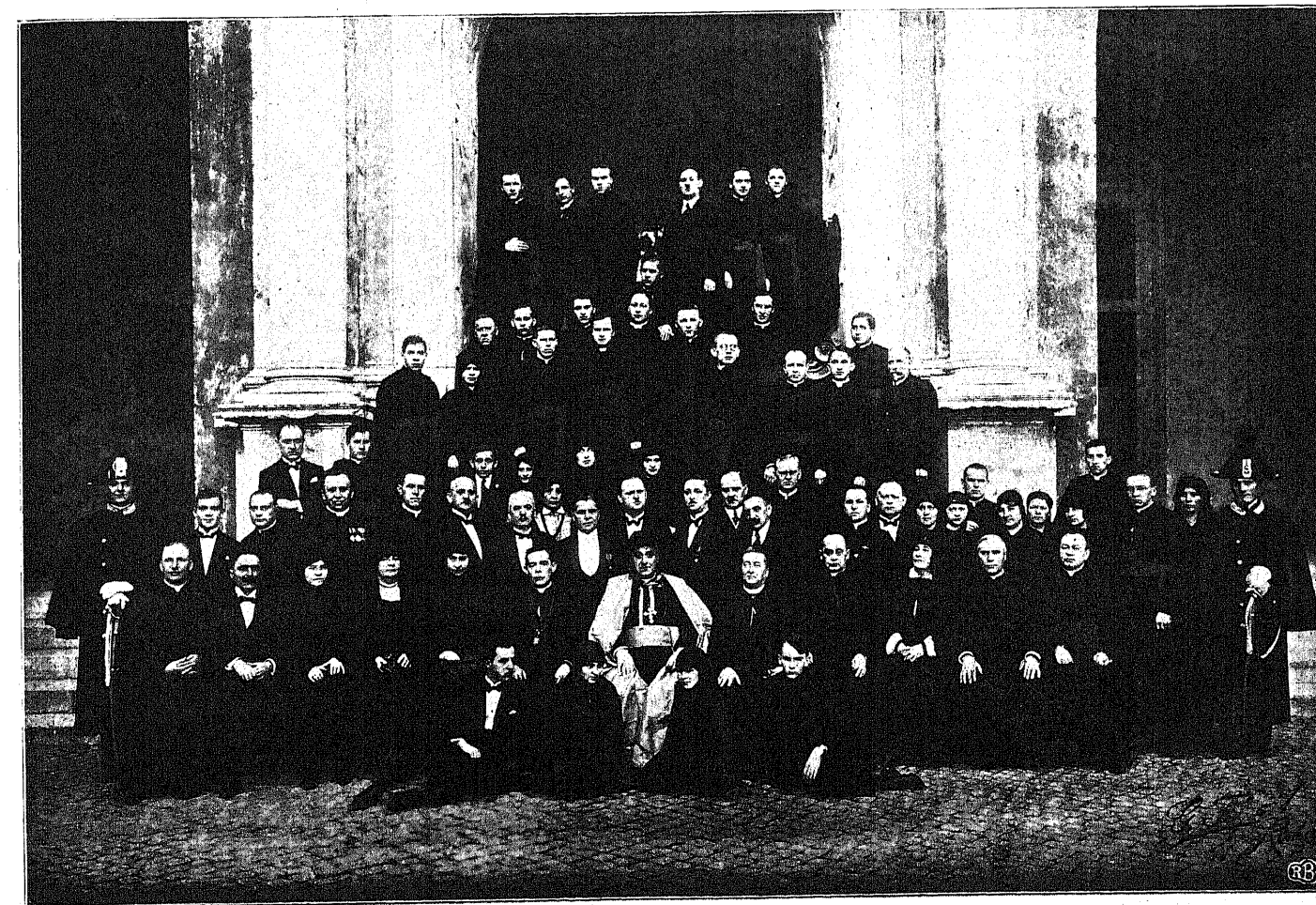
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 23 stycznia 1927 roku

Nr. 4.

## Łodzianie w murach Wiecznego Miasta.



W dniu 19 grudnia r. ub. wyjechała do Rzymu grupa łodzian na uroczystość, związaną z kanonizacją św. Stanisława Kostki z racji 200-lecia. Wycieczka ta, na czele z J. E. ks. biskupem Tymienieckim uzyskała audiencję u Ojca Świętego. Zdjęcie powyższe przedstawia wycieczkę oraz księży-Polaków, pozostających na wyższych studiach teologicznych w Rzymie bezpośrednio po audiencji u Ojca Świętego w murach Watykanu na placu Damazego.